OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 14/26 Lutego 1868 roku.

Nr 8. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.



Kościół na Grzybowie w Warszawie. (Rysował Kiślański drzeworyt Waltera).

Kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie w Warszawie.

Gdy na Starem Mieście w Warszawie kościoły wznoszą się jeden obok drugiego, mieszkańcy dzielnic miasta, które w czasie późniejszym powstały, albo bardzo szczupłą ich liczbę posiadają, albo nawet wcale ich nie mają. Do takich dzielnic należy Grzybów z przyległościami, który jeszcze za Jana Kazimierza odzielną stanowił wieś, będącą własnością Jana Grzybowskiego Starosty Warszawskiego; dopiero w roku 1650 Grzybowski założył tu miasteczko, i od swego nazwiska nazwał je Grzybowem.

A miasteczko to nie tylko nie stanowiło jednej całości z Warszawą, ale nawet oddzielną posiadało jurysdykcją. Niedawne to jeszcze czasy, gdy zniesiono ratusz murowany, wznoszący się na obszernym Grzybowskim placu. Odrębność tę swoją zachował Grzybów aż do roku 1794, w którym zupełnie do Warszawy został wcielony.

Przy coraz bardziej wzrastającej ludności, i przy budującej się corocznie wielkiej ilości domów w tej części miasta, z każdym dniem co raz bardziej naglącą stawała się potrzeba kościoła na Grzybowie. Pierwsza jednak myśl wzniesienia tu Świątyni Pańskiej, należy się bezsprzecznie ś. p. Gabryeli z Gutakowskich hrabinie Zabiełłowej, która r. 1856 ofiarowała na ten cel grunt potrzebny wraz z summą 12,000 rs.

Ale rozmaite okoliczności nie dozwalały odrazu wprowadzić tego zacnego projektu w wykonanie i dopiero w kilka lat później zawiązano Komitet, który energicznie do urzeczywistnienia tego zacnego dzieła przystąpił.

W roku 1861 założono fundamenta, w następnym wzniesiono arkady i filary, zbudowano presbyterjum i tymczasowym dachem pokryto. Kościół dolny został wykończony w roku 1866, a w dniu 1-ym Listopada oddano go na użytek publiczny.

Jest on znacznie większy od Ś-to Krzyskiego i pomieścić może około 1,200 osób. Dzieli się zaś na pięć naw sklepionych, z których główna we środku, a po dwie z każdej strony, oświetlonych dostatecznie oknami w sklepieniu i ścianach. Z trzech ołtarzów główny z białego kararyjskiego marmuru, jest przyozdobiony rzeźbionym wizerunkiem Zbawiciela na krzyżu, wykonanym przez L. Markoniego (syna). W dwóch bocznych ołtarzach mieszczą się obrazy pędzla Gersona i Kolberga: pierwszy wyobraża Matkę Bolesną, drugi zaś Świętego Józefa z dzieciątkiem Jezus na ręku. Ciała zmarłych mieszczą się tu w kaplicy, znajdującej się pod portykiem frontowym. Balustrada przed ołtarzem i w kaplicy grobowej, ambona, cztery konfesjonały i ławki, wyrobione są z dębowego drzewa; chrzcielnica zaś i dwie kropielnice, z krajowego czarnego marmuru. Posadzka z asfaltu polerowanego ułożona w prostokąty naprzemian białe i czarne. Zakrystja przy dolnym kościele dość jest obszerną i również jak kruchta i szerokie wschody zupełnie odpowiada swojemu przeznaczeniu. Do ulepszeń, nieznanych o ile wiemy w innych naszych świątyniach, należą kanały wentylacyjne urządzone w murach, przez które i powietrze się odświeża i wilgoci się nie dopuszcza.

Zaledwie potrzebujemy dodać, że ofiarowana przez hr. Zabiełłową summa, nigdyby nie wystarczyła na wzniesienie tej świątyni, której koszta obliczone zostały na 200,000 rubli srebrem, gdyby Rząd i pobożni nie pamiętali o jej potrzebach.

Aktu poświęcenia dokonał w dniu 1 Listopada 1866 r. jako w dzień Wszystkich Świętych ks. prałat Zwoliński, w asystencji ks. Jakubowskiego administratora parafji Św. Krzyzkiej i ks. Midwocha administratora miejscowego, oraz licznego duchowieństwa. Podczas summy, artyści i artystki opery Warszawskiej pod dyrekcją Quatriniego, wykonali odpowiednie tej uroczystości śpiewy.

Kościół górny miał być poświęcony w dniu 1 Listopada roku zeszłego, że jednak nie został na ten termin wykończony, uroczystość benedykcji odbyła się w dniu 1 Grudnia 1867 roku. Benedykcji dopełnił ks. Metelski dziekan Warszawski, zarządzający parafją świętego Andrzeja.

Skoro się odbyło nabożeństwo w dolnym kościele, celebrujący dziekan w processjonalnym pochodzie, poprzedzony licznemi bractwami i ołtarzykami, wśród śpiewów pobożnych, obszedł w około nowo wzniesioną świątynię i pokropił wodą mury jej zewnętrzne. Po wejściu processji do kościoła górnego, przed ołtarzem odśpiewaną została przez duchowieństwo litanja do Wszystkich Świętych. Celebrujący poświęcił mury wewnętrzne. Po summie, która się odbyła z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, miał kazanie ksiądz Rogowski, wikarjusz miejscowy. Na tem nabożeństwo się skończyło.

Kościół W. Świętych dalekim jest jeszcze od ukończenia. Wiele jeszcze upłynie czasu, wiele ofiar będzie potrzeba, zanim w zupełności wykończonym zostanie.

Najcelniejszą jego ozdobą jest bezwątpienia piękny obraz *Trevisaniego,* wyobrażający Chrystusa na krzyżu, a ofiarowany przez hr. Augustową Potocką; obraz ten przyozdabia wielki ołtarz.

Rzemieślnik z Mostowej ulicy.

DZWON.

(DUMKA.)

Gdym stał w dolinie z moją Haliną,
Dzwonie! ty brzmiałeś ponad doliną. . . .
Wieczorna cisza ziemię owiała,
Na niebie złota zorza jaśniała,
Krętej rzeczułki błyszczała woda,
I w duszy naszej była pogoda. . .
A dzwon z kościółka uroczo brzmiał,
I echo ku nam po rosie słał,
I do zamglonych roznosił stron. . .
Och! ten wspaniałej harmonji ton
Tak błogo dusze kołysał nam,
Tak biciu serca wtórował tam,
Że odtąd tęskny pytam się wiecznie,
Czemu tak więcej nie brzmisz serdecznie?
Drugi raz, dzwonie brzmiałeś inaczej!
Dźwięk ten mnie jeszcze dotąd przeraża. . .
Smutny, w drużynie szedłem wieśniaczej
Do wrót otwartych w polu cmentarza,
Szedłem za trumną mojej Haliny,
Ach! wcześnie uwiądł ten kwiat doliny. . .
Pomnę, z kościołka znów zabrzmiał dzwon,
Bijąc dla biednej Haliny zgon,
Ale tak strasznie brzmiał głośny dźwięk,
Jak mojej duszy tłumiony jęk. . .
I gdym samotnie nad grobem stał,
Tak znowu zgodnie w takt serca brzmiał,
Że odtąd jego każde już brzmienie
Gasi mi dawne, ciężkie wspomnienie. . .

G. J.

SIEROTA.

POWIEŚĆ

(Dokończenie.- Patrz Ner 7).

— Lecz może wyszło ono pani z pamięci?

— Owszem, wiem i pamiętam, ile, że zacny nasz

lekarz, któremu ta rodzina tyle zawdzięcza, także nazywa się Pierzchalski. — Lecz cóż to, dodała po chwili—odchodzisz już doktorze?

— Daruj pani, ale obowiązek święty, sprawa niecierpiąca zwłoki, mówił widocznie pomięszany i jakby rozpromieniony młody człowiek; — dziś jeszcze lub jutro, będę mógł jaśniej wytłumaczyć szanownej pani moje pośpieszne wyjście, dorzucił ciszej, całując podaną mu rękę.

Wyszedłszy, zbiegł spiesznie ze schodów, a dopadłszy dorożki kazał się wieźć co prędzej do znajomego nam dworku na Tamkę. Opamiętał się przed samemi drzwiami, siłą woli pokonał wzruszenie i wszedł do pani Sosnowskiej. Ale ujrzawszy Helenkę jak go wykrzykiem szczerej radości powitała, wyciągnął ramiona a obejmując i przyciskając do piersi dziewczynkę, zawołał z uczuciem: „Ukochana moja! jedyna siostro! odszukałem cię nareszcie! Serce moje dawno cię już odgadło. O jakże ty matkę moją przypominasz! Ten sam głos, te same rysy łagodne, też same łzawe oczy”— mówił rozrzewniony, pieszcząc jedwabiste sploty dziewczęcia.

— Pan doktór! mój brat, mój Kazio! o czy to być może! wyszeptała składając rączki sierotka. Mój Boże jakaż ja szczęśliwa i przytuliwszy się do piersi brata, łzy ale łzy radości, jak perełki stoczyły się po nadobnej twarzyczce.

Rzeczywiście był to Kazimierz Pierzchalski brat Helenki. Ukończywszy chlubnie szkoły jeszcze za życia rodziców, wzięty w charakterze guwernera przez bogatego a szlachetnego pana do jedynaka syna, młody człowiek zyskał sobie przyjaźń obydwóch. Po śmierci ojca wyjechał z nimi za granicę, ukończył fakultet medyczny w Paryżu, a poświęciwszy się głównie okulistyce, w niedługim czasie zyskał chlubne uznanie. Serce jednak ciągnęło go do kraju, do młodej nieznanej mu jeszcze siostrzyczki, której nie tylko bratem, lecz i ojcem być mu należało. Natychmiast po powrocie do kraju, wybrał się do rodzinnego miejsca, a ztamtąd za śladem siostry do babki, ale niestety!... nie tylko babki i Helenki nie zastał, ale nawet dawniejsi mieszkańcy tamtej okolicy rozpierzchli się w różne strony, i nikt nie umiał powiedzieć stroskanemu Kazimierzowi, gdzie mianowicie przeniosły się drogie sercu jego istoty.

Niezrażony tem niepowodzeniem, młody człowiek czynił dalsze poszukiwania, czas jednak upływał nie przynosząc pożądanego skutku; aż Bóg wejrzał na serce szlachetnego brata i dał odszukać siostrzyczkę — aniołka. Po przejściu pierwszych chwil szczęścia, obejrzał się Kazimierz na przyszłość drogiej swej Helenki. Poszedł do pułkownikowej (uwiadomionej już poprzednio o wszystkiem) i z nieśmiałością przedstawił gorącą prośbę. Chętnie się zgodziła i uradzono natychmiast z niezmierną radością dobrej Zosi, że Helenka przeniesie się do pułkownikowej i obie panienki będą razem pobierały nauki; Zosia jako starsza i już posunięta w naukach, miała być przewodniczką Helenki. Panią Sosnowską wziął Kazimierz do siebie, szanując jak drugą matkę; ukształcenie Michasia mając sobie za obowiązek—dogodził więc serdecznym ich życzeniom, nierozłączając matki z ukochanym synem. I Anieli marzenia zostały urzeczywistnione, gdyż w rok po przytoczonych wypadkach, w pamiętny dzień zdjęcia katarakty oblekła sukienkę Siostry Miłosierdzia, a czyniąc zadosyć pragnieniom swego anielskiego serca, poświęciła się pielęgnowaniu chorych.

* * *

Upłynęło lat dwanaście. Przed kościołem Ś-go Krzyża zajeżdżały karety jedna po drugiej. Tłumy ciekawych przebiegały schody, pragnąc zobaczyć wesele bogatych państwa. Już pozapalano rzęsiste swiatło w Kaplicy Matki Boskiej, ubranej z wielkim przepychem w dywany i kwiaty. Niezadługo rozstępujący się natłok, dozwolił popatrzeć na orszak ślubny. Panna młoda to nasza dawna znajoma, nasza sierotka. Szmer uwielbienia wzrasta za każdym krokiem nadobnej pary. Bo też przy męzkiej piękności Kazimierza, bardziej się jeszcze uwydatnia urocza postać Helenki; z dumą też prowadzi ją brat do ołtarza, tembardziej iż jest przekonanym, że swojem braterskiem przywiązaniem i poświęceniem, przyłożył się do jej uszczęśliwienia. Nie pomyślał on dotąd o sobie, poprzysiągłszy cieniom rodziców, że dopóki siostrę nie odda w opiekę wybranemu jej serca, nie stanie na kobiercu ślubnym. Dziś czuje się nad wyraz szczęśliwym, a spojrzenie jego z niewysłowionym wyrazem, zatrzymuje się na druchnie prowadzącej pana młodego. Smukła jak młoda topolka, ze stanowczym wyrazem w czarnych prześlicznych oczach, Zofja córka pułkownikowej, jakby niechcąc spotkała niezwykłe wejrzenie Kazimierza. Rumieniec pokrył zazwyczaj bladą twarzyczkę, pochyliła czoło przed ołtarzem, więcej dla ukrycia pomięszania jak modlitwy. A pan młody — to Michaś — dziś młodzieniec w całej pełni życia. Nie jedna panienka patrząc na dorodnego chłopca, pozazdrościła w duszy pannie młodej. Powierzchowność jednak, była jedną z najmniejszych zalet Michała. Prawy charakter, nieposzlakowana uczciwość, wrodzona dobroć serca, wysokie wykształcenie — oto co stanowiło dla Kazimierza prawdziwą rękojmię przyszłego szczęścia Helenki. Organy zagrały *Veni Creator*. W świetnym orszaku weselnym, wyróżniały się jeszcze dwie znajome nam postacie: pani pułkownikowa pochylona już i znacznie zmieniona, cichym szeptem prosiła Najwyższego o pomyślność młodej pary, spoglądając jakby z wyrzutem na swoją ukochaną jedynaczkę, która dotąd nadarzające się partje jedną po drugiej odrzucała. Tuż przy pannie młodej uklękła p. Sosnowska, jakby odżywiona szczęściem syna i wychowanki zawsze najczulej kochanej. A Aniela?... Aniela, w kaplicy przy szpitalu Ś-go Ducha już od godziny klęczy i śle najgorętsze modły o szczęście ukochanych. Przeżegnała i pobłogosławiła ich rano tego dnia, wymawiając się od udziału w zabawie. Jej radość, jej wesele i zabawa—przy łożu cierpiących braci, jak prawdziwej siostry w Chrystusie.

OBRAZEK ŚWIĘTY.

Komedyjka w jednym akcie.

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie, patrz Nr. 7).

SCENA XI.

(*pokój we dworze*).

PANI DOBROWSKA (*siedzi z robotą i patrzy na zegarek*).

Już południe, a Władyś ze swojej przejażdżki nie wraca.

SCENA XII.

Pani Dobrowska i Panna Józefa (*wbiega szybko*).

Panna Józefa.

Moja mamo, jaki też Władzio miał wypadek!

Pani Dobrowska.

Cóż takiego? Przestraszasz mnie!

Panna Józefa.

Nic tak bardzo złego, chociaż strata: zgubił sakiewkę z pieniędzmi.

Pani Dobrowska.

A dużo ich było?

Panna Józefa.

Dwieście talarów, a prawie samo złoto. Chciał w Borowcu za cegłę zapłacić (*siada i bierze robotę*).

Pani Dobrowska.

A szukałże zaraz?

Panna Józefa.

Szukał, ale może kto inny już był znalazł. Wyjeżdżając ze wsi, spotkał żebraka i dał mu jałmużnę, a potem gdy do Borowca przyjechał, sakiewki już nie było. Miał ją w kieszeni u paltota, to i nie czuł gdy zgubił, a pokazało się, że kieszeń była rozpruta.

Pani Dobrowska

Nieostrożny!

Panna Józefa (*na stronie*).

Nie powiedziałam mamie prawdy, że on przeszło tysiąc talarów miał z sobą. (*Głośno*) Ale, mamo, wieś cała wzburzona.

Pani Dobrowska.

O co?

Panna Józefa.

Wojtaszkowa wypędziła Zosię, tę ładną sierotę, której rodzice na cholerę umarli.

Pani Dobrowska.

Przecież to takie dobre dziewczę i pracowite.

Panna Józefa.

Syn jej chciał żenić się z nią, i dla tego ją wypędziła. Biedna dziewuszka! A taka ładna!.... Niech ją mama przyjmie!

Pani Dobrowska.

Gdzież ona jest?

Panna Józefa.

Babina wypędziła ją ze wsi, i dziewczę poszło do Borowca. Ale przecież możnaby ją sprowadzić.

Pani Dobrowska.

Któż tobie mówił o tem wszystkiem?

Panna Józefa.

Stara Gomułkowa. To taka poczciwa kobieta! Aż płakała, opowiadając mi o tem. Wojtaszkowa złośnica, a przytem jeszcze opanowała ją i najgłupsza pycha: że dziewczę biedne, a rodzice jej byli komornikami—więc nią pogardza....

SCENA XIII.

Też same i marysia.

Marysia.

Proszę wielmożnej pani, przyszła Zośka.

Panna Józefa (*porywając się*).

Zośka! (*biegnie ku drzwiom*). Chodźże Zosiu, chodź!

SCENA XIV.

Pani Dobrowska, Panna Józefa i Zośka.

Zośka (*kłania się paniom*).

Niech będzie pochwalony!....

Pani Dobrowska.

Na wieki!.... Cóż to powiesz?

Panna Józefa (*prędko*).

Pewno za służbą przychodzisz?

Zośka (*smutno*).

Och, nie, wielmożna panienko, bo mnie służby o granicę poszukać trzeba... Ale, oj (*wyjmuje sakiewkę*) znalazłam to ponad drogą.

Panna Józefa.

To Władysia sakiewka! Mamo, jakaż ona poczciwa!

Pani Dobrowska.

Poczciwa dziewczyna!

(*Panna Józefa wybiega ze sakiewką*).

SCENA XV.

Pani Dobrowska.

Moja dzieweczko, to i jakże znalazłaś tę sakiewkę?

Zośka.

Wielmożna pani! Gospodyni Wojtaszkowa zawzięta na mnie (*płacze*), wypędziła biedną sierotę... Pomodliłam się, oj, pod krzyżem, i zgubiłam święty obrazek.... Potem szłam ku Borowcowi, gdy ot zmiarkowałam zgubę, więc wróciłam szybciuchno, szukam... Bóg dał, żem świętość swoją znalazła, a tuż niedaleko błysnęło mi coś w trawie. Myślałam z razu że jaszczurka, ale kiedy się nie ruszyło, tom i podniosła.

Pani Dobrowska.

A czy wiedziałaś, że to syn mój zgubił te pieniądze?

Zośka.

Nie, wielmożna pani, ani słóweczka!

Pani Dobrowska.

To i zkądżeś je tu przyniosła?

Zośka (*nieco pomięszana*).

No.... z przeproszeniem wielmożnej pani (*kłania się*)... nasamprzód chciałam je odnieść do sołtysa....

Pani Dobrowska.

Więc ani na chwilę nie powstała ci myśl, ażebyś je zatrzymała dla siebie?

Zośka (*sumiennie*).

Ani na jednę chwilę! Przecieżby to była cudza krzywda!.... To więc chciałam je odnieść do sołtysa.

Pani Dobrowska.

A potem?

Zośka (*spuszcza oczy i skubie fartuch*).

Oj, potem.... nadszedł Antek, syn gospodyni Wojtaszkowej.... i poradził, abym je do dworu odniosła.

Pani Dobrowska.

Bardzoś dobrze zrobiła, moja dzieweczko i Bóg wynagrodzi ci tę cnotę.

SCENA XVI.

Też same i panna Józefa (*niosąca coś w chusteczce*).

Panna Józefa (*uradowana*).

Byłam u Władzia, odniosłam mu zgubę. A Władzio kochany, mateczko moja! wynagradzając cnotę, podarował Zosi za jej poczciwość pięćdziesiąt talarów (*liczy na stole talary i złotówki*).

Pani Dobrowska.

Dobrze zrobił. Otóż, dziewuszko, masz twój posag.

Zośka (*zalękniona składa ręce*).

O! Jezu mój Jezu! Tyle pieniędzy! Co ja z niemi pocznę, uboga sierota! (*obejmuje kolana pani i panny*).

Panna Józefa (*śmiejąc się*).

To już teraz nie będziesz ubogą sierotą.

Pani Dobrowska (*na stronie*).

Jaka poczciwość! Jaka prostota! To aż rozrzewnia. Poczciwy-to ten lud nasz (*ociera łzy*). Poczciwe dziewczę! (*głośno*): A ja, Zosiu, podaruję dobrą a dojną krówkę na wiano.

Zośka.

Jezu mój, Matko Najświętsza! (*rzuca się do stóp pani Dobrowskiej i płacze*). Czemżeż ja na to zasłużyłam, mój Boże!

Panna Józefa.

Poczciwością, Moja Zosiu!... Ależ i ja nie chcę być gorszą od mamy i brata. Zosiu, dam także wyprawkę i jednę ze sukien moich, na ładną ślubną spódniczkę.

Zośka (*obejmuje kolana jej, panna Józefa ją podnosi i ściska*).

Paniczuchno! Wielmożna panienko!

Panna Józefa.

Wyprawimy ci wesele i będę druchną twoją!.. Posłałam też już po Antka i po panią Wojtaszkową. (*Śmieje się*).

Zośka (*przestraszona*).

O, laboga! Będzie się złościła!

Panna Józefa.

Nie bój się niczego!

SCENA XVII.

Też same, Marysia i Antek.

Marysia.

Proszę wielmożnej pani, przyszedł gospodarz Wojtaszuk.

Antek (*kłania się paniom*).

Pani Dobrowska.

Mój gospodarzu, słyszałyśmy, że chciałbyś zaślubić Zosię, ale matka twoja sprzeciwia się temu.

Antek (*kłania się*).

Tak jest, wielmożna pani.

Pani Dobrowska.

A mianowicie podobno dla tego, że Zosia jest biedną, ubogą dziewczyną.

Antek.

A jużci, wielmożna pani. Chociaż to ja (*spuszcza głowę i kręci kapeluszem w reku*) nie opuszczę jej choć do śmierci.

Pani Dobrowska.

Bardzo słusznie. Zosia ma większe i lepsze bogactwo, aniżeli wszelkie majątki, bo jest poczciwą i bogobojną dziewczyną. Bóg jej też poszczęścił: zgubiła święty obrazek właśnie w tem prawie miejscu, gdzie syn mój zgubił sakiewkę z pieniędzmi.

Antek (*składa ręce*).

To iście dał tak sam pan Jezus!

Zośka (*z płaczem*).

I Matka Najświętsza!

Panna Józefa.

Wyraźna opatrzność Boża!

Pani Dobrowska.

Zosia poczciwa, niewiedząc nawet czyja to zguba, pieniądze tu odniosła; a opowiedziała także zaraz, żeś ty jej wskazał, by znajdźbę do dworu oddała. (*Antek kłania się*). Wynagradzając przeto poczciwość i cnotę Zosi, bierzemy ją pod protekcją naszą: syn mój przeznaczył jej pięćdziesiąt talarów, córka moja da jej wyprawkę, a ja dobrą dojną krowę.

(*Antek i Zośka kłaniają się*).

Panna Józefa.

Posłałam po matkę waszą, a tak jej długo nie widać. Potrzeba przecież raz wszystko skończyć.

Zośka (*ze strachem*).

Gospodyni zawzięta na mnie.

(*Antek szepce jej słów pare. Zośka łzy ociera*).

Panna Józefa.

Nie płacz, Zosiu! Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. (*Wygląda przez okno*). Nadchodzi Wojtaszkowa w stroju odświętnym. A! myśl mi przyszła przedziwna.... Schowajcie się tu za parawan! (*popycha obojga i zasłania ich*).

Pani Dobrowska (*śmieje się*).

Rozumiem!

SCENA XVIII.

Ciż sami i Wojtaszkowa.

Panna Józefa (*biegnie ku drzwiom i otwiera je*).

Wchódźcież Wojtaszkowa.

Wojtaszkowa (*całuje panie w ręce*).

Dzień dobry wielmożnym paniom.

Pani Dobrowska.

Dzień dobry, moja gosposiu.

Wojtaszkowa (*mizdrzy się*).

Wielmożne panie przysłały po mnie.

Panna Józefa.

Chciałybyśmy z wami pomówić, a potem ażebyście nam przysłali Zosię.

Wojtaszkowa (*nieco wzburzona*).

Tę dziewuszkę?

Panna Józefa.

To poczciwa i kochana jest dziewczyna! Chcemy my, by swoje wiano odebrała (*wskazuje pieniądze na stole*).

Wojtaszkowa (*zdziwiona, składając dłonie*).

Te pieniądze?!

Panna Józefa.

Tak jest.

Wojtaszkowa.

I to wszystko?!

Panna Józefa.

Tak jest, wszystko. Matka moja da jej nadto dobrą krówkę dojną, a ja wyprawkę i ślubną suknią.

Wojtaszkowa.

Chryste Jezu! A za cóż to?

Panna Józefa.

Bo Zosia jest poczciwą: znalazła pieniądze mojego brata i odniosła je — Bóg dobry opiekuje się sierotami. Zosia Pana Boga kocha i Matkę Najświętszą, ma w poszanowaniu religją i jest cnotliwą, to jej też Ojciec Niebieski poszczęścił.

Wojtaszkowa (*kręci głową i zaciera ręce*).

Istna prawda! Istna prawda!

Pani Dobrowska.

Potrzeba tylko wynaleźć teraz dla niej męża.

Panna Józefa.

Nietrudno będzie o niego dla takiej ładnej, pracowitej, pobożnej i dobrej dziewczyny, i przy takiem wianie. Myślałam już o stangrecie Macieju.

Wojtaszkowa (*zaambarasowana pokręca głową*).

O Macieju?

Pani Dobrowska.

Zapewne, bo to porządny jest chłopak.

Panna Józefa.

Poślę po niego. A wy, moja gosposiu (*do Wojtaszkowej*) przyprowadźcie nam Zosię.

Wojtaszkowa (*pomięszana*).

A kiedy jej nie ma.

Panna Józefa.

To gdzież jest?

Wojtaszkowa (*rezolutniej*).

Ot, nie była mi na rękę i odprawiłam ją.

Panna Józefa.

No, toćże ją przecie znajdziemy. (*Przegarnia pieniądze*). Poślę po Macieja, to on ją odszuka.

Wojtaszkowa (*drapie się po czole*).

Z przeproszeniem wielmożnych pań (*kłania się*), a wszakci to syn mój, Antek, zalecał się tej dziewusze.

Panna Józefa (*śmieje się na stronie, potem głośno*).

Ale kiedyżeście ją wypędzili, to zapewne nie życzycie sobie, aby waszą była synową.

Wojtaszkowa (*spoglądając z ukosa na stół*).

No, boć to, jak to zwyczajnie, każda matka dziecku życzy jak najlepiej.... Dziewusze niczego.... że pracowita a porządna, to sprawiedliwie powiadam. Ale, ot..... to, oj.... życzyłam synowi córki gospodarskiej, jakoć i on jest gospodarz.... coby przecie jakiś miała wziątek.

Panna Józefa.

Aha! Więc teraz, gdy Zosia ma talary, krowę i jeszcze tam coś więcej, to i przyjmiecie ją za synowę?

Wojtaszkowa.

No, jużci.... boć podobała się chłopakowi, Bogiem a prawdą.

Panna Józefa.

I teraz poznajecie się na niej że pracowita, porządna, pobożna i dobra?

Wojtaszkowa.

A jużci prawda.

Panna Józefa.

Jednakże wypędziliście w świat daleki biedną sierotę, zakrwawiliście jej serce, zgrzeszyliście w obec Boga i ludzi, to Zosia teraz może już nie zechce waszą być synową i raczej wybierze Macieja.

Wojtaszkowa (*przelękniona trochę*).

O, paniczuchno wielmożna (*całuje ją w rękę*) Niech tam paniczuchna nie przeszkadza chłopakowi mojemu!.... Miałby, biedaczysko, wielką *żorotę*.

Panna Józefa.

A miał ją przecież wielką, gdyście wypędzili sierotę biedną i nieszczęśliwą, a przez to i Pana Boga obrazili. Teraz pewnie i niewiadomo gdzie poszła, co się z nią stało i gdzie jej poszukać?

Wojtaszkowa.

Szła ku Borowcowi.

Panna Józefa.

To znać i Antek za nią pobiegł, bo brat mój go spotkał.

Pani Dobrowska (*na stronie z uśmiechem*).

Jakże kłamie.

Wojtaszkowa.

A jużci pewnie za nią pobiegł.

Panna Józefa.

I mówił pan Władysław, że syn wasz wyglądał jak gdyby mu brakowało czego.

Wojtaszkowa.

Boć sobie tą dziewuchą głowę zawrócił.

Panna Józefa.

Aż mnie strach bierze.... Gotowi sobie oboje coś złego zrobić z wielkiego żalu i zmartwienia.

Wojtaszkowa (*przelękniona*).

Coby tam sobie zrobili?

Panna Józefa.

Żeby tylko.... (*kręci głową*).... bo kiedy *desperacja* przyjdzie.... w Borowcu jest jezioro.... żeby się tylko nie utopili!

Wojtaszkowa (*w strachu załamuje ręce*).

Chryste Jezu! Paniczuchno! Tego nie zrobią!

Panna Józefa.

Wielka rozpacz do wszystkiego doprowadzi! Albożby to oni byli pierwsi?

Pani Dobrowska (*z cicha do córki*).

Pastwisz się nad nią!

Wojtaszkowa.

Lecz! Matko Boska! Zwołam ludzi na ratunek! Mój Antek!

Panna Józefa (*zastępując, bierze ją za rękę*).

No, zatrzymajcież się, a dziękujcie Bogu, że nie tak się stało. Uratowani zostali. (*Woła ku parawanowi*): Zosiu i Antku, wychódźcie!

(*Oboje wychodzą i obejmują kolana matki*).

Wojtaszkowa (*uradowana ale zła*).

A wej ich! Oj, niegodliwi! Bodajś.....

Panna Józefa

Cicho kobiecino, cicho! Mówię wam: dziękujcie Bogu! Byliby się utopili zapewne!

Pani Dobrowska.

Tak, moja Wojtaszkowa, wyście grzeszyli wypędzając w świat daleki biedną sierotę. Mogliście synowi waszemu przedstawić, że nie życzycie mu żony bez wiana wszelkiego, ale nie godziło się prześladować nieszczęśliwą dziewczynę. Mogłaby była zrobić sobie w rozpaczy naprawdę co złego... utopić się, a wtedy mielibyście wielki ciężar na sumieniu i to przez życie całe.

Wojtaszkowa.

To jużci sprawiedliwa prawda!

Panna Józefa.

Opatrzność wszelako Boża inaczej zrządziła. Zosia przypadkiem obrazek święty zgubiła, dar od Antka z Częstochowy, i znalazła szczęście swoje: takie było zrządzenie Ojca Niebieskiego.

Wojtaszkowa (*składając ręce*).

Tak, tak, istna prawda!

Pani Dobrowska.

To więc teraz, zapomnijcie już o waszym żalu. Antku i Zosiu ukorzcie się przed matką, a wy gosposiu pobłogosławcie dzieciom waszym!

(*Antek i Zosia klękają przed matką, która im błogosławi*).

(Zasłona spada).

BAJECZKI DZIADUNIA.

Siwy dziaduś spoczywał w fotelu; do koła
Gromadka dziatwy wesoła
Niby wianuszek oplotła go żywy,
A dziadek patrząc z lubością na wnuki,
Dawał nauki
Lub opowiadał historje i dziwy.

Mówił zwolna a dźwięcznie... Słów jego osnowa
Wnuczętom jasno prawdy żywotne tłómaczy,
To też rzadko mądra mowa
Miała tak pilnych słuchaczy.
Przedmiot co dzień był inny: dziś ten, jutro nowy,
A zawsze wzięty z życia gromadki wnuczęcej,
Nigdy też nie dość było tej z dziadkiem rozmowy,
Ledwie ukończył, chór zgodnemi słowy
Prosił i wołał o więcej.

Było między wnuczęty jasno-włose dziecię,
Co najpilniej patrzyło dziadusiowi w oczy,
I to co usłyszało potem na uboczy
Zapisywało w kajecie.
Dziaduś się śmiał gdy czytał, tu i tam poprawiał
Ortograficzne błędy, czasem zatarł ręce
Kiedy się lepiej spisało wnuczęce,
I tak doń mawiał:
„Ja ci twą przyszłość powiem i pewno nie chybię,
Bom z twojej odgadł ją chętki:
Będziesz ty orał piórem po papieru skibie
Nietylko moje spisując gawędki;
To co jest tylko zabawką i próbą,
Dopóki dziecięciem młodem,
Stanie ci się pracą lubą
Powołaniem i zawodem."

Spełnia się wróżba dziadka i oto dziś wnuczek
Z młodzieńczych owych notatek,
Powtarza kilka nauczek
Dla dziatek i dla niedziatek.

I.

Raz, jeden z wnucząt przyznał się przed dziadkiem,
Jako przypadkiem
Spotkał koleżkę z szkolnej ławy, który
Skutkiem śmierci rodziców zostawiony w nędzy,
Rzucić musiał szkolne mury,
I by na chleb dla siebie mógł zarobić prędzej,
Rozpoczął inną naukę niełatwą,
Pracując szydłem i dratwą.
„Zrazu—wyznawał wnuczek—przywitać go chciałem
Bośmy w szkole ze sobą żyli doskonale,
Ale się w porę wstrzymałem,
Bo cóżby powiedzieli ludzie w mieście całem,
Że się z szewcem poufalę?...
Udałem że go nie znam, oczy odwróciłem,
Cóż dziadku?... dobrze zrobiłem?..."

„Źleś zrobił—rzekł staruszek—źleś zrobił me dziecię.
Kto żyjąc w świecie
Cudzą opinją zamierza się rządzić,
Ten tylko może mylić się i błądzić;
Kto pragnie żywota drogą
Do celu jaki obrał dojść w pracy i trudzie,
Nie dojdzie jeśli będzie wciąż pytał się z trwogą:
Co o nim powiedzą ludzie?...
Obieraj za przewodniki
Nie gromad krzyki,
Bo sąd ich z chwilą się zmienia,
Waż zdanie mądrych niewielu
I głos własnego sumienia...
Z tem tylko dojdziesz do celu.

Ot pamiętam historją pewnego młynarza,
Który jak często się zdarza,
Bał się słuchać własnego zdania i rozumu
I rządził się radą tłumu.
Posłuchaj jej, a gdy ci kto uwagę zwróci
Że na to co ropoczynasz,
Ktoś z tłumu może wyrok potępienia rzuci,
Kończ pracę śmiało i mów: „jam nie młynarz!"

Historja owa
W takie brzmi słowa:

Był sobie młynarz, poczciwina,
Miał jedynaka syna.
Obydwaj na targ do miasta
Wybrali się raz z zamiarem
Sprzedania osła, co był im ciężarem.
Więc kłapoucha dosiadł protoplasta
A zdrowo-nogi potomek
Szedł obok pieszo.
Ledwo im z oczu znikł młyn ich i domek
Spotkali się z ludzi rzeszą.
„A to człowiek bez serca!—zawoła gromada, —
Puszcza się w drogę z dzieckiem, sam na osła wsiada,
A syna pędzi piechotą!...
Dopieroż się biedactwo zmizeruje srodze
W dalekiej drodze!...
To nie ojcem być trzeba!... to trza być niecnotą!..."

Słysząc gromiącą go zgraję,
Młynarz przystaje,
Zskakuje z osła i wsadza nań syna,
I dalszą drogę zaczyna.
Lecz znów napotkał ludzi. Nim zrobili staję
I znów gromada gniewem na niego wybucha:
„A w imię Ojca i Syna i Ducha!
A to znów co za zwyczaje!...
Syn się pyszni na ośle, choć młody i zdrowy,
A piechotą ojciec stary!...
Piękne młynarzu krzewisz w młodzieży narowy!...
To nie do wiary!"

Młynarzowi się zdało, że słusznie mówili,
A więc po namysłu chwili,
Pragnąc i pójść za ich radą
I tamtych nie obrazić, co go wprzód zgromili,
Wsiadł na osła wraz z synem i tak dalej jadą.

Ledwie znów staję zrobili,
Inna gromada
Z śmiechem przypada:
„A to dopiero głupi!... osła na targ wiedzie
I sam nań wsiadł i syna posadził na przedzie!...
Czy ten osieł do miasta dowlecze się, proszę?...
Czy kto zań da choć trzy grosze?...
Chyba skórę i kości chce sprzedać nie zwierzę,
Gdy je tak dręczy straszliwie!...
Nie!... patrząc na to, prawdziwie
Śmiech i złość bierze!..."
„Wiesz synu—rzecze młynarz—oni słusznie radzą,
Zsiadajmy, za to więcej za osła nam dadzą."

I to jednak niedało spokoju im obu,
Bo z ludźmi nie ma sposobu.
Ledwo się z temi rozstali,
Wnet napotkali ich drudzy
I dalej
Gromić czyn cudzy.
„A jak ci nie wstyd ty skąpy człowiecze!
Patrzajcie-go, ma osła i pieszo się wlecze!...
Wszak, gdy mu siądziesz na grzbiecie,
To nie ubędzie go przecie,
Lub jeśli wolisz, to posadź nań syna,
Patrz, jak zmęczony chłopczyna!"

„Co pocznę—rzecze młynarz—w tym nowym wypadku?...
Cokolwiek zrobię, wciąż krzyki!..."

„A cóż?... ja nie wiem—odrzekł syn—ot, tatku,
Jedźmy dalej nie dbając na ludzkie języki.”

Młynarz zgodził się i na to,
Zatkał sobie uszy watą,
I tak nareszcie
Stanęli w mieście.

Odtąd zawsze młynarz stary
Kiedy spełniał swe zamiary,
Przewidując, że ludzi na drodze napotka,
Używał waty jako obronnego środka.
Wkrótce też ścichło złe o nim gadanie,
Mówiono tylko: „młynarz ma swe zdanie.”

Wołody Skiba.

ROZMAITOŚCI.

— **Opiekun Domowy pismo illustrowane, poświęcone rodzinom polskim** (*Komplet trzytomowy*) obejmujący **500** drzeworytów w tekscie i oddzielnych dodatkach, jest do odstąpienia *w Redakcji ulica Solna Nr. 715* w Warszawie, dla wszystkich prenumeratorów czy to z prowincji (Redakcja koszta przesyłki bierze na siebie), czyteż w Warszawie, pod następującemi udogodnionemi warunkami. 1-o Tom *jeden* pojedyńczy oprawny (zbroszurowany), ozdobiony okładką illustrowaną i dopełniony spisem rzeczy kosztuje w Redakcji rs. 2 k. 55 (zł. 17). 2-o Takież same jak wyżej dwa tomy rs. 5 (zł. 33 i gr. 10). 3-o Takież same 3 *Tomy razem*, za rs. 7 (zł. 46 gr. 20). Pojedyńczemi kwartałami, również nabywać można po cenie prenumeracyjnej. Zwracamy uwagę każdego, kogo to obchodzić może, na te udogodnione warunki, pod któremi łatwo jest przyjść do posiadania wydania, stanowić mogącego piękną ozdobę w księgozbiorach domowych, tam zwłaszcza, gdzie jest dziatwa lub czeladź żądna nauki i rozrywki.



Młynarz, syn jego i osioł. (Rysunek podług Dorego.— Wyciął na drzewie Szymborski).

— **Kalendarz illustrowany na rok 1868.** (Nakład Jana Jaworskiego — 84 rycin w tekscie). Kalendarz illustrowany wychodzi pod kierunkiem Redaktora *Opiekuna Domowego* od lat 4-ch. Na rok bieżący wyjednaliśmy u wydawcy dla prenumeratorów naszych z prowincji, obniżenie ceny tego wydawnictwa w ten sposób: za zaprenumerowane u *nas wprost* (za nadesłaniem pieniędzy do Redakcji) egzemplarze, prenumeratorowie żadnych już kosztów przesyłki ponosić nie będą. Ustępstwo to ze względu bogactwa treści tego kalendarza na r. 1868 jest znaczącem i dla tego zwracamy na niego uwagę czytelników naszych.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



—**Panu X w Suwałkach.** Chcesz pan zostać literatem i zapytujesz nas w tym względzie o radę.

Piękne to powołanie, nie przeczym, i z wielu względów godne stanąć obok zawodu kapłańskiego. Pod względem jednak materjalnym — zupełnie w innem się świetle ta kwestja przedstawia. Czemże to u nas jest literat? Na dziesięciu zaledwie się znajduje jeden, którego przynajmniej ludzie ocenią; na stu jeden, któryby trzy razy na dzień nie przeklinał chwili, w której go chętka wzięła poświęcić zawodowi literackiemu; na tysiąc jeden, któryby z pióra nie już fortuny, ale znośnego życia się dorobił. Co większa, u nas nie mając patentu na uczonego, nie posiadając rozległych stosunków, nie nosząc nadewszystko mniej więcej rozgłośnego imienia, jeszcze nikt nie dokazał tej sztuki, aby się z pióra utrzymał. Są wprawdzie nieszczęśliwi, którzy żyją z tego, ależ jak żyją?... Całe dnie, noce całe przykuci do pracy, cierpią nieraz wszystkie moralne i fizyczne bole, tej nawet nie mają pociechy, żeby ich pióro swobodnie mogło biegać po papierze, żeby ich utwory z własnego serca lub z własnej myśli płynęły. O nie! oni myśleć i czuć tak powinni, jak myśli i czuje programat gazety lub pisma, do którego pracę swą przeznaczają — od tego programatu ani na krok odstąpić nie wolno. A jeżeli odstąpi, to pan redaktor gotów się obrazić i zamknie szpalty pisma swego przed nim; a jeżeli wydrukune, to mu krytyka jak upiór krew wyssie, a wtedy bywaj zdrowa literaturo, pracjego żadne pismo nie przyjmuje, choćby mu nawet nagle skrzydła orle urosły. O innych małych nieprzyjemnościach, jak o wyrwaniu całych ustępów z twej pracy, o przeistaczaniu jej nieraz najdziwniejszem, o wymaganiu innej w każdem piśmie ortografji, ba, innego stylu—nawet i mówić nie chcemy. Tak więc radzimy wam szczerze: żebyście raczej za młot kowalski, za szydło szewckie, za ważki kupieckie się uchwycili, nie zaś za pióro, które w rękach literata staje się nieraz ciężkiem jak ołów, a jadowitem jak trucizna.

— *Pani podpisanej ......a, na list odebrany pocztą miejską.* Z dwóch mężatek zaslubionych tegoż samego dnia, która której winna złożyć pierwszą wizytę?... Nie jesteśmy kompetentni do rozstrzygnięcia tej kwestji. Jeżeli pani chcesz rozwiązania mającego za sobą powagę, kup pani sobie książkę p. n. *Code du cérémonial, guide des gens du monde* przez hrabinę de Bassanville, wydaną świeżo w Paryżu u Lebigre-Duquesne. Ten przewodnik ludzi dobrego tonu, ten kodeks etykiety, dla nas cokolwiek trącący chińszczyzną, mieści w sobie rozcięcie wszystkich tego rodzaju gordyjskich węzłów. Co do nas radzilibyśmy, żeby młodsza z dwóch pań pierwsza złożyła wizytę starszej—boim się jednak, ażeby w razie przyjęcia tej zasady, obie panie nie wyminęły się w drodze.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.